



## Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży



!! Czwarty rok wydawnictwa !!

# DZIENNIK PETERSBURSKI

== Organ kolonii polskich w Cesarstwie Rosyjskiem. ==

Bezpartyjna, polityczna, społeczna, literacka i naukowa gazeta codzienna

pod kierunkiem gen. Aleksandra Babiańskiego i przy pośrednim udziale mec. A. Lednickiego.

Współpracownictwo i korespondencje przyrzekły nam następujące osoby: L. Altberg, gen. A. Babiański, art. mal. A. Borawski, prof. Baudoin de Courtenay, J. Barchwitz, Błażewicz (Dynaburg), Bursztynski Jan, prof. St. Cybulski, Czubiński T., prof. W. Cieczott, O. Cieczott, prof. Czyński, T. Dmochowski, James Douglas, poseł prof. L. Dymśa, Dymitr Doncow (Lwów), Dworzaczek Wł. (Mińsk), Evert Wł. L. (Moskwa), Ejchler Zygm. (Moskwa), M. Gabrjałowicz, Grzegorzewski (Sołża), Stefan Kiostern, Tadeusz Hiż, St. Hłasko, poseł Harusewicz, Jankowski J., Iła Hłakowicz, Zygmunt Kmita, L. Kulczycki (Lwów), Greszczyński R., Kwiatkowski Rem. (Moskwa), Kuźmin-Karawajew, Henr. Krajewski (Syberja), Klukowski Julian (Moskwa), A. Lednicki (Moskwa), Lipaczyński Cz. (Paryż), Lorentowicz J. (Warszawa), Misiewicz L. (Moskwa), prof. Merczyng, Moczulski J. (Mińsk), Muszkowski (Warszawa), Mioduszewski (Odessa), Nieznajomy (Wilno), I. Niewodniczański, ks. Około-Kułąk, A. Ossendowski, A. Pankratow (Rada Państwa), L. Pantelew, poseł A. I arczewski, prof. L. Patrzyński, prof. A. Pogodin, W. Poklewski-Koziełł, L. Połowski, prof. Pszenicki, prof. St. Ptaszycki, A. Saunier, K. Sokołowski (Kijów), F. Sokołow, prof. Staniewicz, poseł Święcicki, Staniszewski St. (Kazań), Wolski Stan. (Kijów), Wachowski Zygmunt, prof. St. Zaleski, prof. Ziemacki, prof. Tad. Zieliński, Zakrzewski (Stawropol) ks. Zyskar (Dorpat) i inni.

We wszystkich ogniskach życia polskiego: Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie, Kijowie, jakoteż w ważniejszych miastach Cesarstwa „Dziennik Petersburski” posiada własnych korespondentów; specjalne działy tygodniowe.

**Specjalne sprawozdania z Dumy Państwowej i Rady Państwa.**

Wydawca: A. BABIAŃSKI.

Sekretarz Redakcji: ST. GROSTERN.

Redaktor: J. SAWICKI.

Prenumerata wynosi w Petersburgu: rocz. 6 rb., półr. 3 rb., kwart. 1 rb. 50 k., mies. 50 k. Numer pojedynczy 3 kop., na prowincji 5 kop. W Cesarstwie: rocz. 8 rb., półr. 4 rb., kwart. 2 rb., mies. 70 kop. Za granicą: rocz. 12 rb., półr. 6 rb., kwart. 3 rb., mies. 1 rb.

Dla osób niezamożnych, tudzież instytucji i stowarzyszeń, zwracających się wprost do Redakcji — zniżka.

Adres Redakcji i Administracji: Petersburg, просп. Włodzimierski Nr. 13, telef. 105—43.

Prenumeratę na „Dziennik Petersburski” przyjmują oddziały pocztowe w całym państwie.

TYGODNIK

# „Lud Boży”

Popularne pismo narodowo-katolickie  
z trzema dodatkami:

I. Nasza Wieś, II. Gazetka dla Dzieci i  
III. Nauka Wiary.

Wychodzi od lat 6-ciu w Kijowie.

WARUNKI PRENUMERATY.

Rocznie rb. 3. — Półrocznie [rb. 1.50]

Adres Redakcji i Administracji: Kijów, Kościelna № 10. Redaktor i Wydawca: X. ŻUKOWSKI.

PIERWSZA WARSZAWSKA FABRYKA  
**NIETŁUKĄCYCH SIĘ LALEK**  
JANA WODNIAKOWSKIEGO

w Warszawie, Leszno 100!

POLECA WYROBY WŁASNE:

LALKI najpraktyczniejsze skórzane i płóciennie.

LALKI ubrane w wielkim wyborze.

LALKI w narodowych kostjumach.

LALKI z nietłukącymi się, pięknymi główkami.

LALKI z peruczkami, z prawdziwych włosów, z imitacją lnu.

NOWOŚĆ!! KONFEKCJA DLA LALEK W WIELKIM WYBORZE.

„Części zapasowe oraz farba guma do reperacji.

CENY FABRYCZNE

TANIO

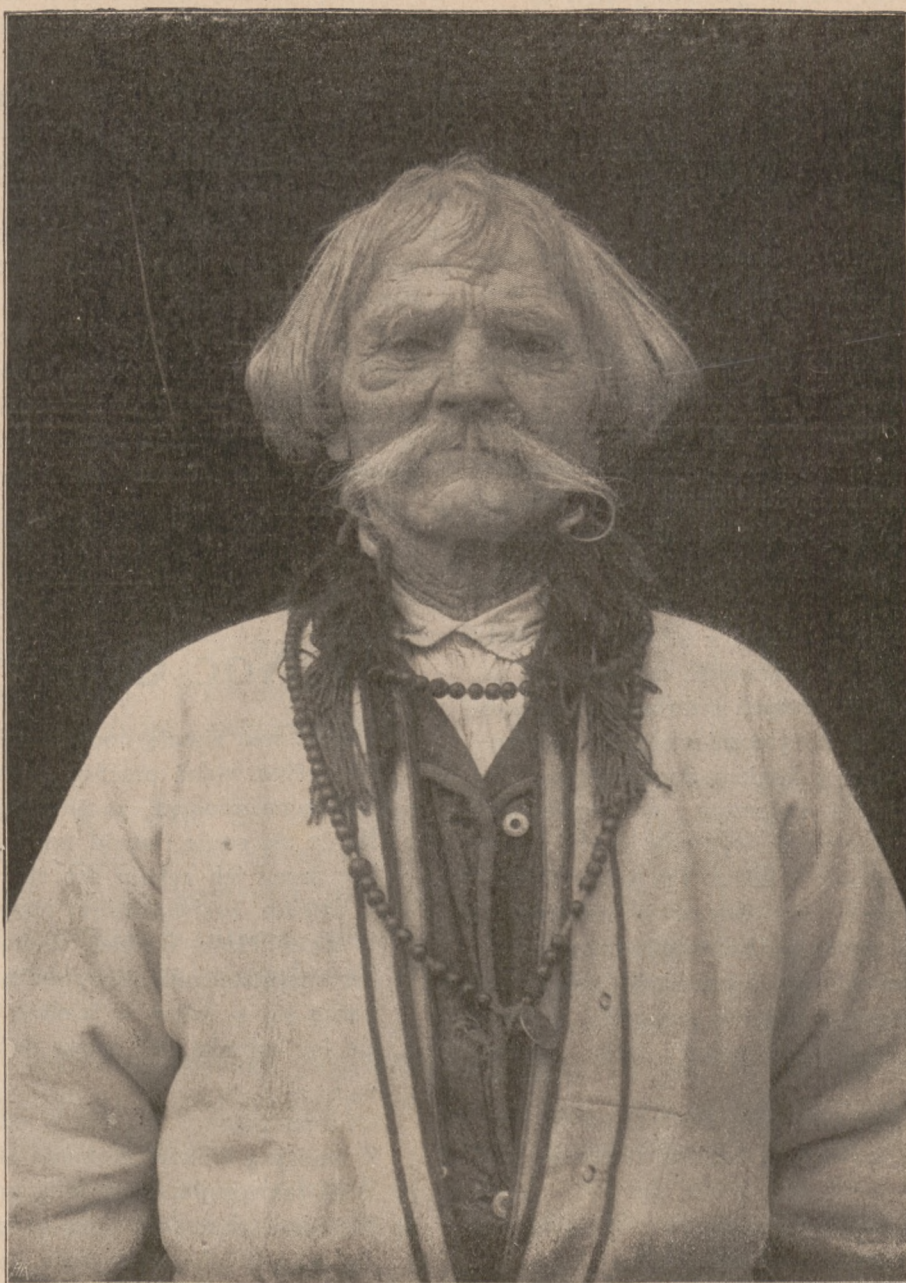
Uwaga! Kantor i sprzedaż detaliczna p. t. „FAJ DZIECIĘCY” Chmielna 26, telefon 217-46.





# Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.



Wieśniak z pod Krakowa.



# KRAKOWIACY.

Wiadomo każdemu, że naród polski utworzył się z kilkunastu różnych, słowiańskich plemion, połączonych razem, a właśnie krakowiacy w narodzie naszym stanowią plemię jedno z najdzielniejszych.

Mylą się niektórzy, sądząc, że krakowiacy są to mieszkańcy i włościanie okolic Krakowa, lub jedynie ziemi Krakowskiej.

Nie, osady krakowiaków rozciągają się i w Królestwie Polskiem od Częstochowy do Kielc i obejmują cały dzisiejszy okręg krakowski, aż pod Karpaty do Myślenic, wraz ze swą starożytną stolicą Krakowem.

Krakowskie województwo stanowiło niegdyś część Małopolski i graniczyło na wschód z województwem Ruskim i Sandomierskiem, na północ z Sandomierskiem i Sieradzkim, na zachód ze Szląskiem, na południe z Karpatami.

Dzieliło się ono na osiem powiatów, a za herb miało orła białego w złotej koronie w czerwonym polu, ze złotą przez skrzydła przepaską.

Senatorów krzesłowych było tu czterech jako to: biskup, kasztelan, wojewoda krakowski, oraz kasztelan wojnicki.

Kasztelan krakowski był uważany jako pierwszy między senatorami świeckimi, miał więc naczelną nad nimi władzę.

Sejmiki wojewódzkie do obierania posłów i deputatów odbywały się zwykle w Proszowicach.

Krakowiacy odróżniają się od innych plemion polskich ubiorem, postacią, muzyką i pieśniami swemi, czerstwością, siłą, a nadewszystko dzielnością charakteru, aczkolwiek i im jest właściwa narodowa nasza wada, nazywająca się „słomianym ogniem“ i pohopność do zwady.

Mężczyźni są pleczyści, krępi, z silnemi barkami, wzrostu średniego, włosów ciemnych, spadających na ramiona, rysów twarzy kształtnych i dorodnych. Jako dzielni jeźdźcy zawsze są pożyteczni w służbie wojskowej i wszędzie, gdzie jest z koniem do czynienia, lubią bowiem oni bardzo te zwierzęta i doskonale obchodzą się z niemi. Krakowiak wytrzymały w pracy, jest również ochoczy do zabawy i tańca. Ich śpiewki zwane „krakowiakami“ krążą po świecie w niezliczonej ilości, a wszystkie zbiory pieśni ludowych znaczną ich zawierają liczbę. Taniec zaś „krakowiak“ należy do jednego z najudatniejszych tańców polskich, którym każdy się zachwycą, tak jest pełen życia, piękna i wesołości.

Kobiety są dorodne, lecz przy ciężkiej pracy, wystawiane na zmianę powietrza, prędko tracą swą krasę.

A któż nie zna krakowskiego ubioru? Któż nie zachwycą się jego wdziękiem i barwnością.

Pełen on jest powabu i smaku: koszula z wązkim kołnierzem, czerwoną wstążeczką związanym, w stanie spiętą skórzanym, nabijanym ćwieczkami mosiężnymi pasem, ozdobionym także mosiężnemi kółkami. Spodnie płócienne lub sukienne; buty, długie po kolana

o wysokich, żelaznych podkówkach, któremi w tańcu iskry krzesze; czapka rogatywka z karmazynowym wierzchem i czarnym, lub siwym barankiem. Zwierzchnia sukmana, albo kierzja granatowa z kołnierzem i rękawami wyszywanymi karmazynowym jedwabiem i świecącemi blaszkami, kończy ich narodowy ubiór.

Strój kobiet również jest malowniczy. W czasie różnych uroczystości dziewczęta ubierają głowy w aksamitne, lub lamowane złotem czółeczka, przystrojone mnóstwem wstążek. Dziewczęta noszą włosy splecione w warkocz i zakończony wstążką kolorową.

Mężatki ukrywają włosy pod czepcem, lub chustką białą; noszą gorsety z kamlotu, atlasu, lub aksamitu, spódnice krótkie do kostek. Tak kobiety zamężne, jak i niezamężne stroją szyje w mnóstwo pięknych korali, stosownie do zamożności.

Krakowiacy, zamieszkujący, że tak powiemy, w sercu dawnej Polski, zachowali w swej pamięci, więcej może niż inne plemiona podań narodowych i zwyczajów starożytnych. Zalecają się też krakowiacy wyższemi zdolnościami umysłu i szczególną zdolnością w układaniu ulubionych piosenek „krakowiaków“.

Podczas ostatnich lat Księstwa Warszawskiego utworzono rodzaj lekkiej jazdy polskiej, nazwanej „Krakusami“ od krakowskiej sukmany chłopskiej koloru białego. Bronią Krakusów była lanca z chorągiewką, szabla i pistolety przy siodle.

W r. 1831 były dwa pułki Krakusów, a składały się wyłącznie z rodowitych krakowiaków.

Na scenę pierwszy wprowadził krakowiaków W. Bogusławski wystawiając operę „Krakowiacy i Górale“, a poetyczny ich obraz dał Kazimierz Brodziński w „Wiesławie“.

*Stefanja Ottowa.*

## W Noc Gromniczną.

Zima... nad ziemią noc chmurna i długa,  
Na niebie widna ptactwa czarna smuga  
Czyha na zdobycz, za wilkami leci,  
Bo te się snują, wśród nocnej zamieci.  
Nic przed ich zębem schronić się nie zdoła,  
Z dzikiem zuchwalstwem napadają sioła.  
W dzień Matki Boskiej, znana to rzecz przecie,  
Że wszystkie wilki, co chodzą po świecie,  
Łączą się w lutym w wielkie gromady,  
Że im ludziska, nie mogą dać rady.

.....  
Ot i na wioskę, co leży w oddali,  
Z śnieżycą wilków gromada się wali.  
Wieś już usnęła, zgaszono ogniska,  
W jednej chateczce tylko światło błyska  
To dom leśnika, przy lesie na skraju  
Stoi samotny, tam u wód ruczaju.  
W chacie tej dzieci usnęła gromadka,  
Nad niemi czuwa kochająca matka  
I ojciec nie śpi, bo ta noc zimowa  
Strachem przejuje, a bliska dąbrowa





Szumi żałośnie... Czasem się odzywa  
Wycie wilczyka, co w lesie się skrywa.

.....

Dzisiaj zgłodniały, wyszedł z swej kryjówki,  
Z towarzyszami, biegł do leśniczówki.

Porwał się leśnik; gdyż Bryś skomli stary,  
Za nim żałośnie zawyły ogary.  
Dzieci zbudzone, do matki przypadły,  
Strwożone główki, na łonie jej kładły,  
Leśnik za strzelbę odważnie porywa  
Chce biedz ich spłoszyć... „O ja nieszczęśliwa”  
Zawoła żona, do okna się zbliża:  
„Toć to wilczyśka są tuż blisko krzyża,  
Do wrót się wciska wilk istna poczwara,  
A za nim sunie, łupieżników chmara.  
Ratuj Przeczysta!” Leśnik broń na stronę  
Rzuca, wraz żoną: „Pod Twoją Obronę”.  
Mówią klękając, a dziecinne głosy  
Płyną wśród płaczu, aż hen, pod niebiosy!

.....  
W tem na obłoku cudna postać spływa.  
Płaszcz Ją z mgieł nocnych, welonem okrywa,  
W rękę gromnicę, trzyma zapaloną,  
Blask jej jaśniejszy, od gwiazd, które płoną.  
Wilki przelękle z pośpiechem pierzchają,  
Przed siłą Nieba, swą zdobycz rzucają.  
Lud wiarę w sercu zachowuje szczerze  
„Marja Gromniczna wieś w opiekę bierze”.

*Marja Kaczkowska.*

## NIGDY!!!

4)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

W mieście za to i na przedmieściach  
zapanował lęk nie do opisania.

Zjawiali się ludzie, mówiący napoły pol-  
skim, napoły litewskim językiem, którzy opo-  
wiadaniem swoim sieli postrach.

Zjawienie się kulasa i jego pięknej to-  
warzyszki uczyniło wprost przynębiające  
wrażenie.

Nie śmieli oni wchodzić do mieszkań  
ludzi możnych, przeciągali jeno koło ich do-  
mów pod oknami, siejąc postrach między  
tłumem, oraz oficjalistami i służbą, od któ-  
rych lęk i przynębienie dostawał się do  
panów.

Dziewczyna wypowiedziawszy prorocze  
swe słowa przed domem Tyszkiewiczów po-  
ciągnęła dalej z całym tłumem.

Miała ona na głowie przytwierdzoną la-  
tarnię, z której migotliwe, kołyszące się za  
każdym ruchem światło padało na jej twarz  
piękną, ogorzałą, nadając jej tajemniczy, pe-  
łen grozy wyraz.

Czarne, wielkie oczy, błyskające ogniem  
i jakimś niezwykłym zapachem dodawały jej

uroku i siły, siłą tą wywierała wrażenie na  
tłum ją otaczający.

Teraz przebiegając ulicę śpiewała, a ra-  
czej pełnym grozy i przerażenia głosem mó-  
wiła:

— Z zachodu przyszedł potwór tu, a lud  
Wilna kłaniał się mu. Krwią ludzką potwór  
splamił biały śnieg i truł śliną wody rzek,  
a lud go panem zwał, swe skarby u nóg  
słał. On w ziemie nasze wbijał kły, a to był  
z piekła *zły*, co się lucyper zwie, bo miał  
aż głowy *dwie*. Lecz zbrodnie jego wstrzy-  
mał Bóg, wygnał za ziemi naszej próg. Te-  
raz zwycięzca idzie tu, co odciął głowę mu.  
A na niewierny sobie lud położy karzą-  
cą dłoń. Chyba, że lud zwróci się doń i czo-  
ło schyli jako przed panem i zerwie ze złym  
tym szatanem, co ma aż głowy dwie, a co  
się *Napoleon* zwie. \*).

Każdy wyraz tej dziwnej pieśni wpadał  
jak kropla roztopionego kruszcu, do uszu

\*) Lud w Rosji utworzył sobie legendę, że Napoleon  
miał dwie głowy. Legenda ta dotąd się utrzymuje. Opowiada  
mi ją żołnierz rosyjski pochodzący z Mołodeczna (Przyp  
autor.).



słuchaczy, zalęwał im serca lękiem, wprowadzając do umysłów najrozmaitsze wrażenia.

Im mniej rozumiano głoszone przez dziewczynę wyrazy, tem opaczniej je tłamaczono.

Zbierały się więc gromadki ludzi na ulicach lub po domach i radzono.

— Co robić? — pytali jedni drugich.

— Uciekać! — ozwał się głos jakiś.

— Dokąd?

Nikt nie umiał na to pytanie odpowiedzieć.

— Chować, co kto ma najdroższego, i życie swoje Bogu polecić.

To jakoś lepiej trafiło do przekonania.

Zbierano więc resztki grosiwa, kosztowności, a kryjąc się jedni przed drugimi wynoszono do sadów, ogrodów, na uroczyska i tam je usiłowano zakopać.

Trafiano jednak na przeszkodę.

Ziemia była zmarznięta, nie można jej było poruszyć.

Odbijano więc posadzki, robiono dziury w ścianach i tam składano swoje skarby.

Pracy tej towarzyszyły zwykle łyżi i przekleństwa.

— Bodaj był zczezł, rozpękł się na dwoje, połamał nogi nim miasto nasze nawiedził.

— Żołnierska jego rozkradli, zrabowali, co jeno było, a teraz jeszcze kara, straszliwa kara spadnie na nas — zawodziły kobiety.

— Nie wynosiłaś to jejmość sama i nie oddawałaś ostatniego kęsa! — przerwała białanie podżyła niewiasta.

— A jejmość nie oddawałaś to ostatniego męzowskiego kozucha i butów — wołała oskarżona.

— Oddawałam, to oddawałam swoje i swoim — odpowiedziała pierwsza.

— Ta, i dziś bym oddała resztę! — mruknęła jakby do siebie.

— Każdy oddawał co mógł, ale nie obdzierał na poły zmarzniętych francuzów, — poparła ją inna, patrząc na tę, która zaczęła wymówki.

— Tacy to najwięcej mają do chowania, co od obładowanych złotem i klejnotami francuzów wyludzali za psie pieniądze ich zdobywcz.

— Albo wychodzili za miasto i leżącym na drodze nawpół żywym odbierali pieniądze.

— Albo zapraszali do domów i od chorych wyludzali zapłatę po dukacie za szklanekę gorącej wody; — zakrzyczały kobiety, zwracając się coraz więcej do tych, które wypominały udzielane datki.

Aż owe kilka niewiast, żony nagle zbożonych mieszczan, nic nie mówiąc, chyłkiem się wyniosły.

Po odejściu ich wrzawa podniosła się jeszcze większa.

— Ta i dziś każdyby oddał nieszczęśliwym chudziakom, co ich ten potwór wyprowadził, — poczęła kowalowa, — u której się zebrały na naradę.

— Co potwór, to potwór! — zawtórowała inna.

— Żeby go!..

— Żeby go piorun spalił!

— Żeby go nagła śmierć spotkała!

— Żeby go w gorącej smole smażono do skończenia świata! — posypały się przekleństwa z rozżalonych i rozbolełych piersi.

— A wszystkiemu temu to nasi chłopcy winni! — wrzasnęła jedna.

Wszystkie obróciły na mówiącą zdziwione oczy.

— Macie rację, moja jejmość — ozwała się po chwili młoda, przysadkowata kobieta.

— Toć to oni wrzeszczeli: *Napoljon* pokona Rosję, odbuduje Polskę, — mówiła naśladując głos męski.

— A on, psia wiara, zaprzepaściłby naszych! — najpiękniejszy kwiat młodzieży, najdzielniejszych mężów! — dodała. I łyżi skrywane w głębi serca, puściły się jej z oczu.

Za nią ryknęły płaczem inne, od najstarszej do najmłodszej. Nawet dzieci, przysłuchujące się zdala, najpierw pocichu, a potem coraz głośniejsze, płakać poczęły.

I przez chwilę nie słychać było ani wzajemnych wyrzutów i oskarżeń, ani klątwy, jeno jeden zgodny szloch, pochodzący z głębi zbolełego serca.

Aż na to nadszedł poważny wiekiem, z białymi jak śnieg wąsami, Maciej Bas, kowal z profesji, a gospodarz mieszkania, w którym rajcowały niewiasty.



# Tajemnica starego zamczyska.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW, PRZEZ AD. KONECZNĄ.

5)

Bujne włosy dziewczęcia, jak gdyby falująca kaszka złota, opłynęła jej plecy i ramiona, a Olanka tymczasem opowiadała „paniusi“ wszystkie spostrzeżenia poczynione w Jarowcach i wszystkie swe drobne przygody od dnia wyjazdu z Wólki wydarzone.

Tymczasem w jadalni ciocia Basia już się zaprzyjaźniła z majorem i rotmistrzem, okazało się bowiem z rozmowy, że będąc jeszcze młodą panną była z panem Janem Karabulskim na kuligu jakimś, że spędzili wówczas w miłym towarzystwie całe zapusty, że zatem mają garść wspólnych wspomnień z młodych lat swoich, garść wspomnień o miłych sercu ludziach i stonach, okazało się też, że babka rotmistrza była stryjecznią siostrą wujecznego dziadka pani Barbary, dalej okazało się, że rotmistrz i pani Barbara lubią grywać przy kominku w marjasza, że major posiada gitarę na błękitnej wstędze i śpiewa pięknie, zaś pani Barbara grywa na klawikordzie.

Wszystko to razem dawało nadzieję, że nawet gdy nadejdzie słotna jesień i długie zimowe wieczory, można będzie czas przyjemie przepędzić przy kartach, muzyce lub pełnej wspomnień rozmowie, nawet i obecnie gawędząc tak we troje przy kawie, czuli się z siebie wzajemnie bardzo zadowolnieni.

A pułkownik?

Pułkownik błąkał się po ogrodzie, szarpiąc swe długie, białe wąsy i mruczał:

— Mogłem przewidzieć, że wszystko to kłamstwo! hm!.. tyle lat, już mi czas do praocjów, dawno czas! Musiałem coś obmyślić, postanowić. A tamten nie powrócił... może zginął! Ten zaś pewno zwodzi, oczekuje, o Boże!

Chodził i chodził pułkownik, jednostajnym, miarowym krokiem, a w ruchach jego widna była ta straszna rezygnacja, z którą po klatce żelaznej chodzi, lewniowolnik. Usta jego nerwowo drgały, oczy pały dziko, zaciskały się kurczowo pięście, snąć walczył z jakimś strasznym uczuciem co mu rozsadzało pierś.

## ROZDZIAŁ II.

Od dnia przybycia Haliny do Jarowiec upłynął zaledwie miesiąc, a stała się już ona ulubienicą wszystkich domowych, jasnym promieniem słonecznym, który wszędzie wnosi ze sobą światło i pogodę.

Gdy przechodziła, zwracały się na nią wszystkie oczy, uśmiechały się do niej wszystkie usta, nawet sam „strycio pułkownik“ nie mógł się oprzeć jej łagodnym, pełnym czci i współczucia spojrzeniom, temu niewinnemu wdziękowi gołąbka czy skowronka, z którym przechylała złotowłosą główkę, wypytując go o zdrowie, starając się uprzedzić każdy jego, rozkaz i życzenie. Major zawojowany był przez nią najzupełniej i objężdżając codziennie posiadłości Goreckiego nigdy z objazdu nie powracał bez jakiejś drobnej, a zawsze miłej niespodzianki dla Hali. Z łanów przywoził jej bu-

kiet habrów lub parę młodych przepióreczek, z lasu poziomek, wiewiórkę, szczygiełka; zaś rotmistrz, który zwykle ślęczał nad księgami rachunkowymi, gdyż zawsze dolegała mu silnie niegdyś poraniona noga, więc chodzić i jeździć wiele nie mógł, a który stale nazywał Halinę złotowłosą rusałką, wszystkie swobodne chwile poświęcał wykonywaniu misternie plecionych koszyków i klatek na ptaszki, aby niemi tę „rusałkę“ obdarzyć. Nawet słudzy i włościanie oglądali się za Halą z przyjemnością, za tem słonecznie jasnym zjawiskiem, które wносиło do ubogich chat zapomogę i starało się pilnie o leki dla chorych.

Nawet ponure dotąd komnaty dworu w Jarowcach z przybyciem Haliny i jej ciotki przybrały całkiem inny wygląd. W bawialni stanął stary klawikord pani Barbary, okna zostały przystrojone w białe wzorzyste zasłony, w wazoniki geranji, rozmarynu i innych zielonych, miłych dla oka roślin, na lśniącej od czystości posadzce leżał barwny, puszysty dywan, na kanapie haftowane poduszki, na stole mistrzowsko upleciona serweta, a w pośrodku, w połocistym dzbanku pachniał bukiet kwiatów i ziół. Po kątach stały na marmurowych słupach srebrne świeczniki, zaś przed kominkiem stoliczek do szachów, na których partyjkę dawał się już zaciągnąć majorowi pułkownik, obok znajdował się też i drugi podobny stoliczek, a na nim karty do marjasza dla ciotki i rotmistrza.

Pod oknem ustawiono krosienka Hali ze świeżo rozpoczętym haftem, z misternymi koszyczkami na włóczkę i perełki. Słowem ponura, sztywna przedtem komnata zmieniła się w miłe gniazdko, owiane ciepłem rodzinnego ogniska, gniazdko wśród którego śmiały się niewinnem weselem niebieskie oczy jasnowłosej wiochny, Haliny, przymilającej się do swej „ciotuchny“, do swych „stryciów.“ I cóż dziwnego, że ci osamotnieni, rodzinnych uciech pozbawieni, a starzy ludzie, doznali nareszcie jakim to jest szczęściem czuć się wśród swoich, posiadać to rodzinne ognisko tak upragnione, i garnęli się sercem całym do tego ogniska.

Pani Barbara mawiała zawsze Halinie: „Najpierwszym obowiązkiem kobiety na ziemi, bądź jest ona matką, córką, żoną czy pokrewną, otaczać serdeczną pieczę bliznich sobie ludzi, być im w chorobie, w latach dziecinnych i w starości opiekunką troskliwą i współczującą, być im w trosce i złej doli pocieszycielką i pomocnicą, być zawsze „domu pilną“ jak apostoł zaleca, starać się ten dom miłym uczynić, aby mężczyzna, naturalny jej przez swą siłę i odwagę obrońca, mógł zawsze powiedzieć, że w domu mu najweselej i najlepiej.“

Teraz więc w Jarowcach, skoro nadchodził zmrok wieczorny, domowi schodzili się do bawialnej komnaty, oszklone drzwi do ogrodu otwierano, ciotka zasiadała do klawikordu, major przynosił gitarę, rotmistrz stawał obok o klawikord oparty.



STANISŁAW BEŁZA

2)

## NAD ŻŁOTYM ROGIEM

TQM I.

Przedmieście przecież, czy nie przedmieście Konstantynopola, Odesa jest interesującym miastem.

Miasto to handlu, które dźwignął interes, to też handel i interes nadają mu właściwy im charakter. Nie kwitnie tam sztuka, nie królują nauki, za to najprzebieglejszy zaiste z bożków Merkury, jest tu przedmiotem wielkiego kultu. I kult ten czuje się też w Odesie w powietrzu, i ktokolwiek w przejeździe na Wschód w niej się zatrzyma, i uważniej rozejrzy się dokoła, przyznać musi, że jeśli nie większości, to przynajmniej znacznej części jej różnorodnych mieszkańców, bicie serc przyspiesza czynnik jedyny.

Przyczynia się do tego i ta okoliczność, że to dziwne miasto więcej niż inne jest w rzeczywistości kosmopolitycznem, że niby magnes ściąga ku sobie ludzi różnych, ideał których leży wyłącznie w zdobyciu jak

największej ilości dóbr materialnych, i że istotnie był czas i nie tak bardzo od naszego odległy, w którym na jego rynkach, jak grzyby po deszczu, zniczego powstawały kolosalne fortuny. I choć czas ten podobno dziś już przeszedł, choć w ogniu różnorodnych spekulacji, wielu powołanych i niepowołanych poparzyło sobie palce, przecież

charakter miasta pozostał bez zmiany, i Odesa dziś tak jak i wczoraj, jest jednym wielkiem targowiskiem, gdzie wyrazy: kupno i sprzedaż obijają się ciągle o uszy.

Ale nie czas na dalsze już spostrzeżenia i uwagi. Zegarek wskazuje 4 godzinę po południu, za kilkanaście minut statek austriackiego Lloyd'a odchodzi do Konstantynopola, wsiadam więc w jednokonną dorożkę, przeciskam się po opuszczeniu jej z podróżnym moim wózek przez tłumy, wyczekujące w porcie od rana na zarobek, i za chwilę, cała Odesa, z jej zabijającą jednostajnością i kupieckim wyglądem, rozpływa mi się przed oczami, niby cień.

I.

Mgła na morzu. — Küstendża. — Wrota Bosforu. — Bosfor. — Wrażenia i spostrzeżenia. — Pałace nad Bosforem. — Tajemnica Czyraganu. — Pierwsza tureczyna. — Konstantynopol.

Ta mgła, której zapowiedź miałem już przed sobą, gdy wsiadłem na pokład statku parowego, ta mgła nie-

znośna, prawdziwe utrapienie żeglarzy, prujących o pewnych porach roku morza całego świata, nie opuszczała nas ani na chwilę.

Kiedy odbijaliśmy od brzegów Odesy, unosiła się jeszcze nieznacznie w powietrzu, ale gdyśmy się zostali z obrazem tego miasta, wzięła nas w swoje posiadanie, jak rzecz jaką. I bez ceremonji wszystko pokryła oponą grubą.

W Odesie widziałem szare niebo nad sobą, w dole brudną taflę bałwanującego się morza, ludzi, konie, pociągi.

Tu nie widziałem już nic.

Niebo znikło, morze zlało się z wilgotną jej masą w jedną bezkształtną i bezgraniczną całość, a ludzie, o ile nie puciekali przed nią z pokładu do kajut, przedstawiali się oczom moim, jak gdyby jakieś pokur-

czzone, ciężkie, niezgrabne bryły.

Było ciemno, smutno, zimno.

Wilgoć nie tylko wisiała nad nami, ale wsiąkała w nas, przemawiała, jak to się pospolicie mówi, do szpiku kości, mroziła silniej od samego nawet mrozu. Kto żył, chronił się przed nią gdzie mógł, a tam gdzie się schronił, złościł się na wszystko i wszystkich, a głównie na samego siebie,

że w czas podobny zstąpił z twardego pod nogą gruntu, wszedł w stosunek bezwzględnej zależności od żywiołu, który gdy się przypadkowo z mgłą skojarzy, wszystkiemu co żyje, daje srodze uczuć przykrą swą moc.

W taki czas co się robi na okręcie?

Nie patrzy się ani na morze, ani na niebo, nie szuka się jak Mickiewicz w pierwszym Sonecie krymskim, „gwiazd, przewodniczek łodzi“.

I gdy śledzenie za tem wszystkim, dla chwilowej chociażby rozrywki, nie prowadzi do niczego, gdy zziębnięci, pokurczeni i rozdrażnieni współtowarzysze niewesołej podróży i doli, do rozmów nie okazują najmniejszej chęci, gdy dokoła siebie nie widzi się nic, a słyszy jeno monotony zgrzyt szruby parowca, i monotoniczniejszy od jej zgrzytu dźwięk dzwonka kapitana, bierze się pierwszą lepszą książkę do ręki, i bezmyśl-



Bosfor.



nie przerzuca jej karty, z poziewaniem spoglądając na zegarek, rychło nadejdzie godzina spoczynku, i zapomnienia o wszystkim, o czem się myśli i co się czuje.

Chwila nadchodzi, i przez kilka z rzędu godzin, nie myśli się na szczęście o niczem, nie czuje się nic.

Ale gdy nasz statek, który miał bez zatrzymania się w drodze, jechać wprost do Konstantynopola, pod wieczór następnego dnia podpływał ku wybrzeżom rumuńskim, i wtedy jeszcze ta przykra mgła rozpościła się między moim wzrokiem a Küstendzą.

Tylko nie była to już mgła wczorajsza.

Wczoraj przedstawiała mi się, jak gdyby jeden olbrzymiej objętości wał, dziś już podobną była raczej do wilgotnych oparów, unoszących się niekiedy nad bagnami.

To też dzięki temu, kiedy po zakomunikowaniu mi nieprzyjemnej wiadomości, że statek nad zakresłony w zarządzie komunikacyjnym w Odesie plan, zatrzyma się następnego rana w Küstendży, i tem samem później niż zamierzał przybędzie do Konstantynopola, wyszedłem na pokład; mogłem już jako tako przyjrzeć się obrazowi tego miasta, ogólnym zarysom domków stacyjnych, i skromnej cerkiewce na górze.

Prawda, że dopiero po opuszczeniu okrętu, obraz ten przedstawił mi się dokładnie, budynki u k a z a ł y jasno swoje linje, w porównaniu przecież z wczorajszym stanem, było i to dla nas wszystkich prawdziwym dobrodziejstwem.

To też wszyscy, jak jeden mąż, wylegli z pokładu na ląd, wszyscy w nadziei lepszego jutra, porozchmurzali niewesołe swoje oblicza, winszowali wzajemnie sobie, śmieli i cisnęli się do siebie, tak, jak gdyby wszyscy w jednej chwili obdarzeni zostali nagle czemś nadzwyczajnem, chwycili w dłonie złudną marę jakiegoś niespodziewanego szczęścia.

Kto się zadziwi, że mający ujrzeć poraz pierwszy w życiu czarodziejską panoramę Bosforu, oraz gród uroczy, rozsiadły nad brzegami trzech lazurowych mórz, i doznane po raz pierwszy wrażenie odbić w swej duszy z siłą, której ani unicestwić, ani nawet osłabić nie potrafi już żadne z później doznanych wrażeń — kto się zadziwi, że raduje się on jak dziecko, gdy mu to wszystko ujrzeć pozwala pogodne niebo, w warunkach potęgujących wszystko, na co oko Boga spogląda, — piękno?

Ale gdy wszyscy po obejrzeniu Küstendży, powracają najspokojniej na nasz statek, i choć niechętnie, godzą się przeciw z tą myślą, że zamiast jutra, pojutrze dopiero wpłyną we wrota Bosforu, ja w żaden sposób pogodzić się z tem nie mogę.

Jutro zdaje mi się być pewnem, pojutrze kwestja, co tam chowa w zanadrzu swoim, więc wywieździawszy się, że dziś jeszcze statek rumuński „Kobra“ na noc wyrusza do Konstantynopola, biorę rozbrat z Lloydem austrijackim, i nie bacząc na to, że narażam się na kupno nowego biletu, postanawiam powierzyć mu swoje losy.

Czas to pieniądz; a gdy się nad Złoty Róg płynie, w okolicznościach takich, w jakich ja płynąłem, w porze kapryśnej i zmiennej, jak „gust kobiet, łaska pańska, i pogody jesienne“, gdy się czuje, że jutro rano będzie pogodnie i słonecznie, a pojutrze kto tam jeszcze wie jak, czuje się podwójnie silnie wartość praktycznego tego przysłowia, idzie się za jego wskazówką bezwarunkowo. Więc i ja idę, i gdy nazajutrz zegarek

wydzwania godzinę 8-mą zrana, mam nad sobą jasną i czystą słoneczną tarczę, a przed sobą wyraźne pagórki Rumelii i Anatolii.

Te pagórki, to wrota drogi wodnej, wiodącej z północy do padyszachów stolicy, a na straży tych wrót, dwie wlewające otuchę w ich serca obronne baszty:

*Rumili Fener*  
*i Anadoli Fener.*

Statek powoli wpływa na wody,

rozdzielające te baszty. Morze Czarne, ze swoją Odesą, swoją mgłą, i swoim spóźnionym w drodze parowcem Lloyda austriackiego — tam już w oddali.

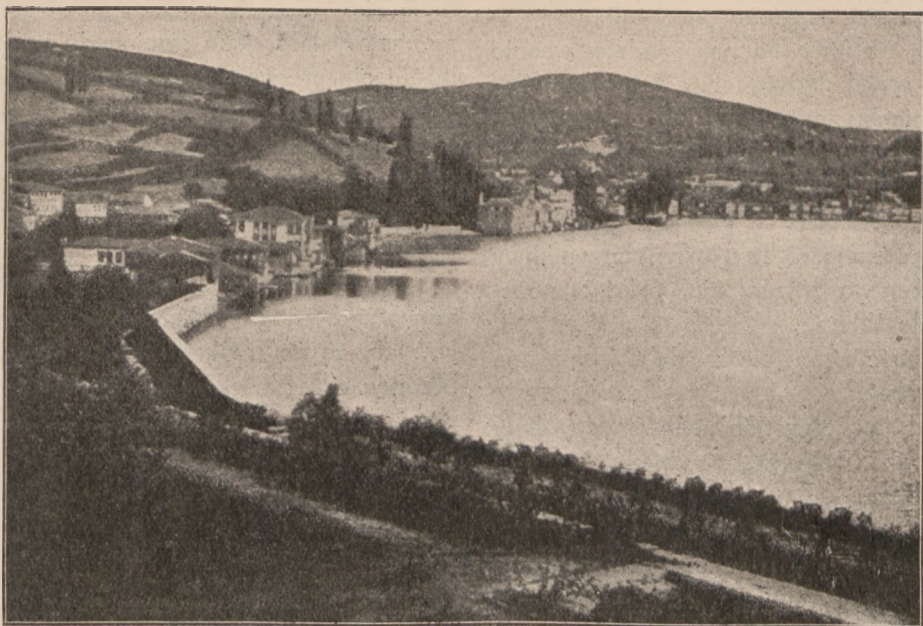
A tu w pobliżu, nowy i nieznany świat, niewidziany i niepodziwiany dotąd cud, fantastyczny i czarodziejski dziw.

Ten świat, ten cud, ten dziw, to Wschód, i jego nieomylny już zwiastun: Bosfor...

Od strony Morza Czarne, Bosfor przedstawia się, jak gdyby wielka zatoka morska.

Zatoka półokrągła, górzysta.

d. c. n.



Beikos.



O. CONAN DOYLE.

## ZAGINIONY ŚWIAT

OPOWIEŚĆ O ZDUMIEWAJĄCYCH PRZYGODACH  
PROFESORA JERZEGO CHALLENGERA, LORDA  
JOHNA ROXTONA, PROFESORA SUMMERLEE I  
PANA EDWARDA MALONA, CZŁONKA REDAKCYI  
„GAZETY PORANNEJ“.

c. d.

PRZEKŁ. ANG. M. G.

Zapasy postanowiliśmy zostawić, a zabrać tylko karabiny i naboje. Lecz Challenger pragnął koniecznie zabrać swoje zbiory, zwłaszcza pewną skrzynkę, o której teraz nie mogę nic więcej powiedzieć, a która sprawiała nam najwięcej kłopotu...

Dzień mijał powoli, ale gdy noc zapadła byliśmy już gotowi do wyruszenia. Z wielkim trudem wydźwignęliśmy nasze pakunki po stromych schodach i rzuciliśmy pożegnalne spojrzenie na ten kraj dziwny, który może niezadługo stanie się pastwą podróżników i myśliwych; ten kraj, w którym dokonaliśmy tyle, przecierpieli tyle; nasz kraj, jak go zawsze będziemy nazywali...

Z brzegu jaskini, na lewo od nas, padały wesołe czerwone blaski ognisk indyjskich. Ze zbocza dochodziły śpiewy i śmiechy indjan.

Przed nami rozkładały się długim pasmem lasy, w pośrodku połyskiwało w mroku wielkie jezioro, schronisko dziwnych potworów. I gdyśmy patrzyli na nie, dobiegł do nas ciemności rozgłośny, przenikliwy krzyk jakiegoś nieznanego stworzenia, ostatnie pożegnanie z krainy Maple Whita...

Odeszliśmy i zapuściliśmy się w głąb jaskini na drogę wiodącą... do kraju!

We dwie godziny już wszystkie nasze rzeczy były złożone u podnóża skał. Jedyłą trudność sprawiły nam pakunki Challengeera.

Pozostawiliśmy to wszystko i poszliśmy do obozowiska Zamba, gdzie stanąwszy o świcie, zastaliśmy ze zdumieniem zamiast jednego ogniska, cały szereg ognia, płonących na równinie.

Przybyli ratownicy!

Dwudziestu indjan z drągami, linami, narzędziami, które mogły pomóc do zbudowania przejścia nad przepaścią...

Przybycie ich uwolniło nas od innej trudności: od dźwigania naszych pakunków w powrotnej drodze do Amazonki.

Na tem kończy się wierny opis tego co się nam zdarzyło.

Piszę teraz z dawnego obozowiska, w którym tak długo trzymał straż, wierny nasz Zambo. Trudności i niebezpieczeństwa pozostały za nami jak senne marzenia...

Oczy nasze oglądały istne cuda; dusze nasze oczyściły się i uszlachetniły wśród trudów. Każdy z nas wraca lepszym człowiekiem... Za dwa miesiące stanimy w Londynie, gdzie mój list nie wiele wcześniej od nas przybędzie.

Serca nasze wyrwywają się stęsknione do ojczyzny, do miejsc, w których pozostawiliśmy wszystko co nam

jest drogie. Lecz zarazem budzi się obawa, co nas tam czeka? Jakie wrażenie uczyni sprawozdanie z naszych przygód?

Przecucie mówi mi, że ten ostatni rozdział, może obfitować w dziwne, nieprzewidziane zdarzenia... W każdym razie, kochany panie Mac Ardle, mam nadzieję wkrótce uścisnąć dłoń pańską.

XVI.

*Pochód! Pochód!*

Nie przypuszczaliśmy nawet, że nasza wyprawa obudzi tak wielkie zajęcie w tych stronach południowej Ameryki, przez które prowadziła nasza droga. I przykro nam było, że za tyle uprzejmości jakie nas spotkały, za serdeczną gościnność jaką nas darzono, musieliśmy zapłacić fałszem, upewniając pytających, że ten, kto by poszedł naszymi śladami, straciłby próżno czas i pieniądze. Ale tak już postanowiliśmy między sobą, że nie ujawnimy naszych odkryć, przed naradzeniem się z członkami Zoologicznego Towarzystwa, które nas wysłało, jako swoich delegatów; im zatem należało się pierwsze sprawozdanie z tego cośmy uczynili. I dlatego, mimo że w Southampton otoczył nas tłum reporterów, odmówiliśmy im wszelkich objaśnień, co naturalnie skierowało całą uwagę publiczności na zebranie, zwołane w d. 7 listopada w sali Towarzystwa Zoologicznego.

Na zebraniu tem mieliśmy przedstawić wyniki naszej wyprawy, ale zgłaszały się tak wielkie tłumy ciekawych, że po trzykroć trzeba było zmieniać salę, wybierając coraz większą, a każda okazywała się potem zbyt szczupłą na pomieszczenie słuchaczy.

Zebranie odbyło się w wielkiej, a jeszcze niewystarczającej sali Albert-Hall, nazajutrz po naszym przybyciu do Londynu.

Ale teraz składam już pióro i wyręczam się dokładnem sprawozdaniem, spisanem dla naszego dziennika, przez znakomitego sprawozdawcę, a mego przyjaciela i kolegę Macdona, pod tytułem:

„ZAGINIONY ŚWIAT“

WIELKIE ZEBRANIE W ALBERT-HALL.

BURZLIWE SCENY.

NADZWYCZAJNY WYPADEK!

CO TO BYŁO WŁAŚCIWIE?

NOCNY POCHÓD PRZEZ MIASTO.

(Specjalne sprawozdanie dla naszego dziennika)

Zebranie zwołane przez Towarzystwo Zoologiczne dla przyjęcia sprawozdania z wyprawy, odbytej do południowej Ameryki, w celu sprawdzenia wiarygodności twierdzeń profesora Challengeera, odnoszących się do istnienia pierwotnych form zwierzęcego świata w tamtej krainie, odbyło się zeszłego wieczora w wielkiej sali Albert-Hall i możemy śmiało stwierdzić, że ten dzień, powinien być wydrukowany czerwonymi zgłoskami w historii nauki, bo przebieg posiedzenia był tak



ciekawy i niezwykle, iż każdy z obecnych zachowa go na zawsze w pamięci.

Bilety wejścia przeznaczone były wprawdzie tylko dla członków i ich przyjaciół, lecz ponieważ określenie to jest bardzo elastyczne, na długo przed godziną ósmą, na którą oznaczono otwarcie posiedzenia, ogrzana sala była już doszczętnie wypełniona. Lecz część publiczności, żywiącej nieuzasadnioną urazę o wyłączenie z posiedzenia, przypuściła o kwadrans na dziesiątą kompletny szturm do drzwi, poprzedzony bójką, w której mnóstwo osób odniosło szwank, np. inspektor z oddziału H Troble, któremu w zamieszaniu zgruchotano nogę.

Po tem niesłychanem wtargnięciu, ciekawi nietylko wypełnili wszystkie przejścia, ale zajęli nawet miejsca przeznaczone dla przedstawicieli dzienników, tak że liczba słuchaczy, oczekujących przybycia podróżników, doszła do pięciu tysięcy.

Gdy wreszcie oczekiwani przybyli, zajęli miejsca w pierwszym rzędzie na estradzie, gdzie już zasiedli pierwszej najznamienitsi uczeni z całej Europy.

Ukazanie się czterech bohaterów, było hasłem do powitalnej demonstracji, gdyż wszyscy obecni powstałi z miejsc i przyjęli ich gromkimi okrzykami. Lecz bystry spostrzegacz mógł już wtedy wyczuć pewne objawy protestu wśród okrzyków, grożące w dalszym ciągu zamęceniem karności.

Lecz śmiało można twierdzić, że nikt nie przewidywał nadzwyczajnego zwrotu jaki wkrótce nastąpił w zebraniu.

Nie będę opisywał powierzchowności czterech wędrowców, ponieważ ich wizerunki podawały wszystkie pisma. Niewiele znać na nich przebyte trudy i być może, że broda profesora Chailengera jest mniejsza, twarz profesora Summerlee surowsza, a postać lorda Roxtona szczuplejsza; oblicza ich wprawdzie przybrały odcień ciemniejszy, lecz pomimo tych zmian, spoglądali oni [na publiczność pogodnie i z wyrazem zadowolenia, zwłaszcza nasz kolega przedstawiciel dziennikarstwa, znany zapaśnik w piłce nożnej i atletyce, pan E. D. Malone.

Gdy ucichła wrzawa i wszyscy zasiedli na swych miejscach, przewodniczący książe Durham, przemówił do zebranych.

Upewnił, że nie ma zamiaru dotykać tego, o czym ma mówić profesor Summerlee, sprawozdawca wyprawy; pragnie tylko wspomnieć, że jak chodzą pogłoski, wyprawa osiągnęła nadzwyczajne wyniki (oklaski.) Chce zwrócić uwagę słuchaczy, że i w dzisiejszych prozaicznych czasach, zdarzają się uczonym poszukiwaczom przygody, jakichby się nie powstydziła najbujniejsza wyobraźnia dawnych powieściopisarzy.

Pragnie też wyrazić swą radość, którą dzieli z nim wszyscy tu obecni, z powodu szczęśliwego powrotu wędrowców z tej niebezpiecznej wyprawy, albowiem każda klęska jakaby na nich spadła, byłaby niepowetowaną stratą dla nauki.

(Wielkie oklaski. Profesor Challenger także klaszcze zapamiętale).

Gdy powstał profesor Summerlee, wybuchnął znów

wielki zapal wśród zgromadzenia, skierowany tym razem do osoby mówcy.

Sprawozdania jego nie podajemy tu w całości, ponieważ ukaże się ono jako dodatek do naszego pisma opracowany przez specjalistę.

Podamy tu tylko niezbędne szczegóły, Profesor Summerlee objaśniwszy cel podróży i oddawszy należyty hołd swemu koledze, profesorowi Challengerowi, przeprosił go za niedowierzanie z jakim on, Summerlee, przyjmował dawniej jego odkrycia, a potem zdał pokrótce sprawę z dokonanej podróży, lecz zatrzymując dla swojej tylko wiadomości wszystko, co mogłoby służyć za wskazówkę gdzie leży owo płaskowzgórze. Wzruszył jednak do głębi słuchaczy opisem przebytych trudności i niebezpieczeństw, których ofiarą padło dwóch służących metysów.

Potem powiódł słuchaczy na tajemnicze płaskowzgórze, wstrząsnął opowieścią o spadłym w przepaść pniu drzewa, który za most służył podróżnikom; opisał im okropności i uroki tego kraju. Mało mówił o osobistych przygodach, lecz rozwodził się szeroko, nad bogatym plonem jaki nauka zbiera ze zbadanych przez wędrowców zwierząt, ptaków, owadów i roślin płaskowzgórza.

d. c. n.



Pomnik Michała Wagnera w Wielkich Solecznikach w Wileńskiem, poległego w bitwie pod Widzami 1812 r.

(z teki p. Wagnera)



## Igrzyska Olimpijskie.

Grecja, ten mały kraik na południu Europy leżący, tak wysoko rozwinęła u siebie nauki i sztuki piękne, iż dotąd Europa cała z jej dorobku duchowego wiele korzysta.

Maleńka i na drobnutkie państewka podzielona, odparła zwycięsko olbrzymie wojska potężnych wówczas Persów.

Drobne państewka Grecji nie miały innej spójni prócz wspólności języka, religii i wspólnych instytucji społecznych.

Najważniejszymi z tych ostatnich były: Amfiktjonja czyli związek miast dla obrony świątyni Apollina w Delfach, oraz Igrzyska Olimpijskie.

Igrzyska te odbywały się w Ellidzie, małym kraiku południowej Grecji, a polegały one na różnorodnych ćwiczeniach fizycznych, jako to: biegu do mety, walce na pięści, gonitwach na wozach, wyścigach konnych, rzucaniu krążków, zwanych Diskos, ciskaniu włócznią i mocowaniu się \*).

Gospodarzem igrzysk był król Elidy. On to wysyłał heroldów zapowiadających w całej południowej Grecji czyli Peloponezie, rozpoczęcie uroczystości ofiar.

Więc zaraz napływać poczynają ze wszystkich stron Grecji i jej kolonji wspaniałe poselstwa, wiozące z sobą kosztowne naczynia ofiarne, dary dla bogów, a zwłaszcza dla Zeusa.

Prowadziły też one doborowe bydło ofiarne na całopalenie. Każde poselstwo składało swe dary w małej kapliczce własnej, każde bowiem państwo i miasto starało się mieć w Olimpii kaplicę ofiarną.

Uroczystości trwały pięć dni, więc też wiele barwnych namiotów wykwitało naokoło areny zapaśniczej, jednak większość Greków obozowała pod gołym niebem.

Nie sądzicie jednak, iż pierwszy lepszy miał prawo brać udział w tych igrzyskach. Musiał on być pochodzenia helleńskiego, człowiekiem wolnym i bez żadnej plamy na czci i honorze.

Dlatego też każdy, kto chciał dostąpić tego zaszczytu, musiał zgłosić się do sędziów igrzysk, czyli arbitrów i wykazać swoje w tym względzie prawa. Grecy tak dalece sobie ważyli już sam zaszczyt brania udziału w tej walce, której widownią była ojczyzna, iż to badanie wstępne nie uważali jeszcze za dostateczne, a sądząc słusznie, iż w takim napływie ludzi, prędejj znaleźć się może ktoś, co będzie w stanie samowolnych kandydatów zawstydzić, zaprowadzili zwyczaj, iż po uznaniu ich przez sędziów igrzysk, heroldowie wprowadzali jeszcze kandydatów do walki na arenę i zapytywali tłumów zgromadzonych, czy niema im kto czego do zarzucenia, wywołując imiona i pochodzenie każdego po kolei.

A kiedy heroldowie ogłaszali, iż igrzyska rozpoczynają się, oczy wszystkich widzów kierowały się na arenę i dusze wszystkich obecnych zdawały się zespałać ze sobą w jedną wielką zbiorową duszę grecką, śledzącą z natężoną uwagą każdy ruch, każde drgnięcie zapaśników. Zwycięzcy w różnych poszczególnych zapasach walczyli potem między sobą, gdyż wieniec laurowy był nagrodą tego jedynie, kto wszystkich zwycięzców pokonał. Lecz zato jakąż mu on chwałę przynosił! Cały ród jego, ba, całe miasto rodzinne i kraj na cała, z której pochodził zdawała się brać udział w tym zaszczycie i chlubiła się takim rodakiem.

A kiedy na głowę jego wdziano przepaskę i najstarszy z arbitrów wieniec oliwny na nią nałożył, stawał się on od tej chwili niby świętością narodową. Gromadzono się koło niego, tłumnie i gwarnie prowadzono go przed ołtarz bogów, aby im dziękczynienie złożyć, a kiedy do rodzinnego miasta wracał, zaprzęgano dlań do pysznego wozu czwórkę białych jak śnieg rumaków i ze śpiewem i muzyką wprowadzano go w mury miasta.

Tutaj zaś pochód cały dążył do świątyni bożka opiekuńczego, w której zwycięzca swój wieniec oliwny zawieszał. I odtąd wolnym był od wszystkich podatków państwowych, owszem sam żywił się na koszt państwa, a na wszystkich uroczystościach publicznych honorowe miejsce otrzymywał.

Lecz nie same popisy zręczności, sprawności i siły fizycznej odbywały się w Olimpii. Mówcy popisywali się tutaj swą wymową, poeci odczytywali swe utwory, malarze zaś i rzeźbiarze urządzali tu na czas igrzysk wystawy prac swoich.

Była to więc jakby kipiąca życiem wystawa całego dorobku fizycznego i umysłowego Greków, a że dorobek ten był bogaty, nie dziw, iż pierś każdego Greka radosnem tchnieniem mocy się rozszerzała, krew raźniej krążyła w żyłach, oko błyskało tryumfem, a te radosne i szczęsne wzruszenia, utrwalając w grekach poczucie jedności, budziły nadzieję przyszłego coraz wspanialszego plonu.

Znamy obecnie dokładnie arenę igrzysk olimpijskich, to jest miejsce, na którem się one z taką chwałą odbywały, a to dzięki mozolnym trudom uczonych archeologów europejskich.

Najważniejszą część obszaru igrzyskom poświęconego, stanowił gaj święty z oliwnych drzew i platanów, Altis zwany, kształtu czworobocznego, murem otoczony. Na wschód od Altis leżała arena dla zapaśników, Stadion i tor wyścigowy — Hippodrom.

Świątynia Zeusa, niby dom mieszkalny pana i gospodarza całej krainy, stała w samym środku gaju, a ołtarz jej, na którym popiół spalonego bydła ofiarnego z roku na rok pozostawał, wznosił się w ten sposób coraz wyżej, stając się podobnym do naszych kościołów legendowych mogił Wandy i Krakusa.

Wł. Niæcka.

\*) Początek tej historycznej pogadanki drukowany był w Nr. 47 „Wieczorów”. Dla tych, którzy od Nowego Roku dopiero mieli sposobność z pismem naszym się zapoznać, podaję w kilku wierszach streszczenie tego numeru.





### Z widowni wojny.

Przedłużające się rokowania w Londynie, żadnego dotąd nie przyniosły rezultatu, któryby walkom koniec położył. Jednocześnie z obradami nad zawarciem pokoju, flota turecka stoczyła z grecką bitwę morską w pobliżu cieśniny Dardanelskiej, i na lądzie pod miastem Janiną. Każdy z przeciwników podaje sprzeczne o ostatecznym zwycięstwie wieści, każdy głosi swoją wygranę; to tylko pewne, że wielkie straty są po obu stronach. Jeżeli Turcja skłoni się do oddania Bułgarom Adrianopola, jak tego od niej żądają mocarstwa europejskie, mógłby na Bałkanach spokój zapanać; armiom słowiańskim nie wyczerpał się duch oporu, i chęć dochodzenia swoich praw, ale szeregi ich przerzedzone, najwaleczniejsza część poległa, albo szpitale zapełnia. Kilka wysp na morzu Egejskiem wystąpiło ze stanowczym życzeniem zjednoczenia się z Grecją, jako swoją macierzą; miasta na wyspie Rhodos urządziły burzliwą demonstrację w tym samym celu, które władze włoskie zapomocą wojska uśmierzyły.

### Obchód.

Kolonja polska w Paryżu urządziła w połowie stycznia uroczystość na pamiątkę setnej rocznicy urodzin Kraszewskiego. W obszernym gmachu Tow. geograficznego zebrał się wyborowy tłum gości, których liczniejszą część stanowili francuzi. Przemawiał autor Rosny, wzięwszy za podstawę wiersz poety Delevigne'a: „Pour les vieux frères d'armes, n'avez-vous que des larmes?” (czyż tylko łzy macie dla swoich starych towarzyszy broni?); deklamowała artystka teatru, były śpiewane pieśni w obu językach. Z polaków, świetnym odczytem (wraz z pokazami), w języku francuzkim ołśnił zgromadzenie A. Potocki. Ten ostatni wygłosił już ośm podobnych odczytów w różnych stronach Francji, aby obznajmić społeczeństwo tego kraju z naszym rozwojem i dorobkiem umysłowym. Przed stu laty inaczej daliśmy się poznać temu ni-by bratniemu narodowi; miał on nam dużo do zawdzięczenia!

### Słuszne zabiegi.

W obec szeroko już rozgałęzionej działalności kobiet Wielkopolskich na polu gospodarstwa i przemysłu swojskiego, w obec głośniego ich protestu przeciwko wywłaszczeniu z ziemi, (bezprawie to poruszyło obojętną dotąd na podobne gwałty opinię publiczną we Włoszech), Niemcy starają się wszelkimi sposobami powiększać środki germanizacyjne, i ugruntować swoją przewagę na wschodnich kresach państwa. Pruskie dzienniki piszą: „ze względu, że żywioł polski zaczyna brać górę, stawiając naszym usiłowaniom opór ciągły a rządowym rozporządzeniom okazując naganny brak posłuszeństwa, konieczną jest rzeczą i już nieuniknioną rugowanie ze szlacheckich posiadłości, zakładanie podwójnej ilości szkół, czytelników i sklepów, i mianowanie niemców proboszczami katolickimi“. W tym duchu również odpowiedzieli ministrowie z Berlina pani Liszkowskiej, która wyrzucona ze swego majątku, chciała odwołać się do sprawiedliwości zaborców.



Wieś polska (według obrazu art. mal. Greczyńskiego).





Już cię kocham miła *Śnieguło!* Bo jakże nie kochać istotki, która tak serdecznie i pocziwie pisze. Fotografją swą zrobisz mi wielką przyjemność — przyślij ją więc jaknajprędzej, bo rada będę poznać cię chociaż w ten sposób.

Wyglądać na młodszą niż się jest, to nie żadne zmartwienie, *Śnieguło* — w wieku dojrzałym, to nawet przyjemność — a ty zresztą jesteś tak jeszcze młodziutką, że znakomicie rozrosnąć się możesz. Rada na to: dużo ruchu, praca fizyczna, gimnastyka, sporty, no i racjonalne odżywianie się, którego ty unikasz. Pozatem, gorliwie trzeba przykładać się do nauk, przez nie bowiem rozwija się i dojrzewa nasz umysł. Smuci mię tylko, że religia nie należy do najulubieńszych twych przedmiotów, a wszakże jest ona najważniejszą, bo wiedzie nas do poznania prawdy, istotnego szczęścia do Boga... ileż to razy daje się słyszeć, że powodem upadku tego i owego człowieka, powodem jego nieszczęść, była właśnie nieznanomość religii. Zmieni się więc pod tym względem *Śnieguła* i ukocha naukę o kochającym nas Stwórcy i o drodze do Niego wiodącej, nieprawdaż?

Dlaczego to wielkich ludzi cenimy dopiero po śmierci? — takie pytanie zadała mi *Polka*.

Przedewszystkiem, *Polko*, umiemy już dziś i za życia ocenić naszych wielkich, gdyż z postępem światła i zasługę łatwiej dojrzeć, czego dowodem są hołdy czci i wdzięczności, składane naszym zasłużonym za ich życia.

Wielu tylko ludzi nie dbając o laury świata, lub wskutek niezależnych od nich okoliczności, pracując w cieniu, nie są nikomu znani i dopiero, gdy z chwilą ich śmierci ta dobroczynna praca, wpływ ustaje — poznajemy dokładnie jaką ponieśliśmy stratę, czem oni byli i od dajemy im pośmiertne hołdy.

Tak, przykra to rzecz nie mieć rodzeństwa, ale nie powinno to być powodem do nudów — weź się kochanie w takiej chwili za jaką robotkę, bodaj cerowanie pończoszek, a nuda napewno ucieknie za dziesiątą górę, dziesiątą rzekę.

A dlaczego to *Polko* nie piszesz mi nic o starszej swej siostrze i jaki cię z nią łączy stosunek? W przysłym liście czekam więcej szczegółów.

Naturalnie, *Patryoto*, że do Przyjaciółki zwracać się trzeba z zaufaniem i szczerością, bo inaczej jakieżby był cel naszej korespondencji, jakie wyniki?

Aby pogawędka moja z wami istotnie miała jakąś wartość — musi między nami panować szczerość musicie mi się dać poznać takimi, jakimi jesteście naprawdę. Ja wszystkim was kocham serdecznie i każdemu, wzorem ukochanej *Jaskółki*, pragnę w szlachetnych dążeniach, dobrą radą pomagać.

Żądane pismo możesz nabywać pojedynczymi numerami w kioskach, lub w jego redakcji. Co się zaś tyczy dodatków do „Wieczorów“ — musisz się zwrócić do administracji, która te rzeczy załatwia.

Serdecznie dziękuję ci ukochany *Dzieciuku*, za podobiznę przemilej twjej osóbkę; umieściłam ją na biurku i patrząc na nią, kreślę odpowiedź niniejszą.

Ma rację *Aśka*, kochając cię; z twoich listów i twarzątki dobroć aż promienieje, z prawdziwą przyjemnością zawsze je odczytuje. Widzisz *Dzieciaku*, prze-

konałaś się już, że człowiek sam sobie wystarczyć nie może, że uczucie przyjaźni słodkie jest i święte.

Zachowajcie dziewczątka ten skarb uczucia na całe życie, da on wam szczęście i podpory wiele.

Prawda *Jaśko*, żeś tego samego zdania? Tymbar-dziej, że kochać umiesz, jak sama to wyznajesz.

Oskarżasz się dziewczę o cygańską naturę — zdaje mi się, że *Dzieciak* większą ma słuszność, nazywając to nierównoważeniem, a równowaga przychodzi tym prędzej, im więcej sami nad nią pracujemy, a więc?...

*Jaśko!* wątpić w siebie niewolno, bo jesteś dobrą, tylko jest w tobie domieszka, jakby pewnej goryczy, ukrytego żalu, lecz może się mylę — zamało jeszcze wiem o tobie i duchowym twym stanie, ale spodziewam się, że to nastąpi, że w następnych listach dasz mi się bliżej poznać wszak prawda? Za uczucia twe dla mnie wdzięczną ci jestem całym sercem, któreś podbiła odrazu. O fotografię proszę cię bardzo, zgóry już za nią dziękując.

A naturalnie, że znam cię *Lolu Arenberg*, pisywałaś dawniej pod pseudonimem *Loli Figlarki*, wiem, żeś jedynaczką, ale masz za to kuzynki, które kochasz. Cieszę się więc bardzo, że zabierasz ze mną bliższą znajomość, bo mam nadzieję, że będziesz pisywała często i obszernie, nieprawdaż? Czekam na przyobiecany list.

— Czy Przyjaciółka mię przyjmie? — zapytuje *Makówka*.

I przyjmuje z radością i kocham nawzajem miłuchny kwiateczek, oczekując na obszerny, obiecany liścik, nie daj nań tylko zbyt długo czekać.

Bardzo rada *Polna Różo* z nowej znajomości, tym więcej, żeś mi się odrazu tak umiejętnie przedstawiła, że już z listu poznaję w tobie osóbkę rozsądną, pracowitą, systematyczną, a co najważniejsze — dobrą i kochającą.

Nigdy nie myśl kochanko, że list twój może mnie znudzić — mnie cieszy i żywo obchodzi każdy dotyczący was szczegół, a ty osobliwie, prostotą swą, wdziękiem naturalności trafiłaś mi do duszy i zdaje mi się, że znam cię oddawna.

Donieś mi w następnym liście, czego najbardziej lubisz się uczyć, co zamierzasz robić w przyszłości, jakie czytujesz książki i wiele innych szczegółów.

Ciesz się mię to, że podobają ci się „Wieczory“ — łamigłówek niezadługo umieszczane w nich będą.

*Halinka*, o którą zapytujesz, jest moją maleńką, bo nieliczącą jeszcze trzech lat, córeczką, lecz która mimo młodziutkiego wieku interesuje się już korespondencją z wami.

Oryszew, droga dziewczeczko, pokorny jest i cierpliw, zaczeka więc, aż będziesz miała pieniądze na ofiarę dla biednych jego sierotek.

Uścisk serdeczny dla siebie i siostrzyczek zasyła

*Przyjaciółka.*

**OD ADMINISTRACJI.** Prosimy naszych zamiejscowych prenumeratorów, aby byli łaskawi pod adresem administracji naszej *Krakowskie-Przedmieście 64*, nadsyłać prenumeratę na r. 1913.



# „POLAK-KATOLIK” NAJTAŃSZE CODZIENNE PISMO PORANNE,

WYBITNIE KATOLICKIE I ANTYSEMICKIE.

Radaktor i Wydawca **KSIĄDZ IGNACY KŁOPOTOWSKI.**

Organ szczerze i wybitnie katolicki narodowy, całkowicie **niezależny, śmiało otwarcie** porusza wszelkie sprawy polityczne, społeczne i ekonomiczne. Podając liczne wiadomości ze wszystkich dziedzin życia, szczególną uwagę poświęca **ruchowi katolickiemu**, tudzież zawsze palącej kwestyi **żydowskiej**, usilny kładąc nacisk na rozbudzenie samodzielności i przedsiębiorczości najszerzych warstw społeczeństwa polskiego.

**Niebywale niska cena**, zarówno jak styl i język jasny, prosty a dla wszystkich zrozumiały, czyni z „POLAKA-KATOLIKA” pismo codzienne, najodpowiedniejsze dla szerokich mas ludności miejskiej i wiejskiej.

**Warunki przedpłaty z przesyłką:** Rocznie 5 rb. półrocznie 2 rb. 50 kop.; kwartalnie 1 rb. 25 kop.; miesięcznie 35 kop.

Za odosłenie do domu dopłaca się miesięcznie 10 kop.

Za zmianę adresu 10 kop:

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Trębacka 11.**

# „POSIEW” NAJTAŃSZE PISMO LUDOWE TYGODNIOWE

ORGAN WYBITNIE KATOLICKI I ANTYSEMICKI.

„Posiew”, redagowany stylem jasnym i zrozumiałym, jest przystępnym dla najszerzych warstw ludowych i pożądanym w każdym domu robotnika i chacie wieśniaka, jako tygodnik religijno-społeczny, wydawany w duchu ściśle katolicko-narodowym.

Redaktor i Wydawca **Ks. IGNACY KŁOPOTOWSKI.**

CENA PRENUMERATY:

Rocznie rb. 2.50, półrocznie rb. 1.30, kwartalnie kop. 70, miesięcznie kop. 25. — Numer pojedynczy kop. 6.

Zmiana adresu kop. 10.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Trebacka 11.**



ZNANE ZE SWEJ DOBROCI

**OBUWIE DAMSKIE, MĘZKIE I DZIECIĘCE**

poleca w swych Magazynach

**Szewc Władysław Dobrzyński**

w Warszawie, Chmielna 18, tel. 187-80.

Złota 28, tel. 142-20.

Rabunek w lesie.

SZARADA.

ul. Emilja Rychter.

Rabuś błdzi gdzieś po lesie;  
Piła i siekiera błyska,  
Zgrzyt i stuki echo niesie,  
Łza żywiczna z drzew wytryska.

W głębi lasu huczy para,  
Zgrzyta piła; *wszystkie* w ruchu;  
Już niejedna sosna stara  
W deskach leży na mchów puchu.

Drugi, trzeci los jest sosny;  
Człowiek drugi pierwszy ścina;  
Giną setki każdej wiosny,  
Jak pod sierpem zbóż roślina.

Drugiej, pierwszej, trzeciej mało,  
Niedość mu kłos ściąć na łanie,  
Człowiek chce, by drzew nie stało,  
Choć tak miło spojrzeć na nie!

Zimą, pierwsze trzecie zgadnie,  
Krzewem ich opłotki grodzi,  
Lub zasila nim tokarnie,  
Gdy potrzeba w tem zachodzi.

Drży ostatnich, trzecia, druga,  
Drży krzak młody czy pień stary,  
Drwał na drwała okiem mruga,  
Zgodnie znaczą niem ofiary.

TREŚĆ Nr. 3. Krakowiacy (z 1 ryc.)  
W Noc Gromniczną (z 1 ryc.) — Nigdy,  
przez Morawską. — Tajemnica starego  
zamczyska, przez Koneczną. — Nad Zło-  
tym Rogiem, przez Stanisława Belzę (z  
2 ryc.) — Zaginiony świat przez Conan  
Doyle. — Igrzyska olimpijskie, przez Wł.  
Nidecką. — Z pięciu części świata. — Wiesz  
polska (rycina) — Skrzynka do listów.

DZIAŁ DLA DZIECI: Miła zgoda. —  
Gromniczna. — Nie mów mamie. — My-  
szaty konik, przez Marię Kaczkowską (z  
2 ryc.) — Kojami, przez Marię Poraską.

## WARUNKI PRENUMERATY:

„WIECZORY RODZINNE” kosztują w Warszawie: Rocznie rb. 4. Półrocznie rb. 2.  
Kwartalnie rb. 1. Za odosłenie dopłaca się 10 kop. kwartalnie.

Z przesyłką pocztową w granicach państwa: Rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2 k. 50,  
kwartalnie rb. 1 kop 25.

Za granicą: w Austrii 14 koron, z dodatkami 21 koron rocznie.

„ w Niemczech 12 marek, z dodatkami 19 marek rocznie.

Za oprawę dodatków bezpłat. książkow. dopłaca się 2 rb. 40 k. rocznie, t. j. po 20 k.  
od tomu. Na przesyłkę podarunków należy dołączać kop. 40 w stosunku rocznym.

## Warunki ogłoszeń:

2 i 3 strona

wiersz i szpalta kop. 20

w tekście nadesłane

„ „ „ 50

Adres redakcji Trębacka 11, tel. 240-15

„ administr. Krak. Przedm. 64, tel. 192-41.





„POLAK-KATOLIK”  
 WYDZIAŁ KATOLICKI I AKTYWISTY  
 WYDZIAŁ KATOLICKI I AKTYWISTY  
 WYDZIAŁ KATOLICKI I AKTYWISTY

Wydawnictwo  
 WYDZIAŁ KATOLICKI I AKTYWISTY  
 WYDZIAŁ KATOLICKI I AKTYWISTY

Wydawnictwo  
 WYDZIAŁ KATOLICKI I AKTYWISTY  
 WYDZIAŁ KATOLICKI I AKTYWISTY